

O ratowaniu własnego ula [FELIETON]

Zaraza oraz „lockdown” dla jednych państw mogą oznaczać spadek, ale dla innych relatywny wzrost bogactwa, wpływów oraz politycznej potęgi. I żadna unijna polityka „nowej spójności” czy „antykryzysowej solidarności” tej nowej relacji, wytwarzającej się po odejściu zarazy, nie zmieni – zauważa Jan Rokita w felietonie napisanym dla Teologii Politycznej.

W sławnej „Bajce o pszczołach” Bernard Mandeville wywodzi, iż to nie pierwotne religie, ale „umiejętne rządy nieufnych polityków” wmówiły po raz pierwszy ludziom, iż muszą poskromić swój naturalny egoizm. Owi „pierwsi politycy” mieli tak uczynić z powodów pragmatycznych: chcieli aby władanie okiełznanymi w ten sposób ludami stało się prostsze i bardziej obliczalne. Jednak wedle XVII-wiecznego pisarza, owa operacja „okiełznanania ludów” przyniosła więcej szkód, aniżeli pożytków. Jak wiadomo - w bajce Mandeville'a społeczność pszczół, która pozwoli sobie owładnąć moralizatorskiej iluzji polityków, popadnie w ruinę, utraci ul i wyginie w walce, a jej resztki zalęgną się w końcu w zmurszałej dziupli. „Moralne cnoty są tym dla życia politycznego, czym jest pochlebstwo dla dumy” – uważa Mandeville. Naturalna duma popycha narody do wielkości i czynu, jednak politycy, którzy umiejętnie schlebiają owej dumie, pragną ją w istocie okiełznać, zinfantylizować i upupić.

*Tam gdzie stawką staje się
obrona życia własnych
obywateli, trudno dziwić się
rządom, iż ich naturalnym
odruchem okazuje się
narodowy egoizm*

Nie polecałbym –
rzecz jasna – nikomu
Mandeville'a, jako
nauczyciela
moralności. Jednak
jego przewrotna
szkoła polityki jest z
pewnością co
najmniej warta

namysłu. Zwłaszcza w czasach zamętu, wojen, poważnych kryzysów. Najczęściej bowiem to właśnie takie czasy obnażają rozziw pomiędzy manifestami na rzecz międzynarodowego altruizmu, łączenia sił i solidaryzmu, a pragmatyczną koniecznością stawiania na narodowy interes, będący czasem nawet po prostu warunkiem przetrwania. Owe internacjonalistyczne z ducha manifesty, które w czasach kryzysu pojawiają się niczym grzyby po deszczu, nie mogą dziwić ani zaskakiwać. Niczym w Mandevillowskiej społeczności pszczół, rodzi się bowiem wówczas silnie ugruntowane przekonanie, iż z kłopotów, jakie stały się doświadczeniem wszystkich, najlepiej wychodzić razem, wyrzekając się wszelakiego egoizmu. Tyle tylko, że w momentach głębokich kryzysów przekonanie owo nazbyt często okazuje się być jawnie sprzeczne z warunkami narzucanymi przez polityczną rzeczywistość.

Nie chcę bynajmniej w ten sposób wyrazić pochwały dla kroków podejmowanych tu i ówdzie obecnie przez Amerykę, która ponoć par force przejmuje – wykorzystując swoje wpływy i potęgę – w różnych punktach świata transporty deficytowego sprzętu, przeznaczonego do walki z zarazą. Senat Berlina oskarża amerykańskie służby o zastosowanie takich „pirackich praktyk” w Tajlandii wobec transportu

zamówionego dla berlińskiej policji, zaś Francuzi – o podobne działania podjęte w Szanghaju, tym razem wobec transportu, który nie dotarł w końcu do Paryża. Zresztą w panującym obecnie chaosie informacyjnym nie ma pewności, czy te pretensje mają w ogóle pokrycie w faktach. Niemniej jednak, tam gdzie stawką staje się obrona życia własnych obywateli, trudno dziwić się rządowi, iż ich naturalnym odruchem okazuje się narodowy egoizm. Tym bardziej zrozumiały w obliczu technicznego nieprzygotowania świata demokratycznego na atak zarazy i biorącego się stąd (ukrywanego często przez rządy, także w Polsce) rażącego z początku deficytu prostych zasobów niezbędnych do powstrzymania ekspansji wirusa: masek, testów, respiratorów. To w końcu nawet w przypadku tak bardzo wyczulonego na idee humanitaryzmu oraz wolnego handlu rządu Niemiec, jego pierwszym odruchem była blokada eksportu środków przydatnych do walki z zarazą. I trzeba było dopiero interwencji Brukseli, grożącej karami za złamanie reguł wspólnego unijnego rynku, aby Berlin – przynajmniej formalnie – wycofał wydane już zarządzenia.

*Ostra rywalizacja o to, kto
okaże się najmniej
poturbowany i osłabiony
skutkami „lockdownu” trwa
już dziś*

O ile jednak w unijnej Europie można by sobie wyobrazić bardziej wspólnotową politykę sanitarną w obliczu zarazy, to już nie należy żywić

żadnych złudzeń co do przyszłego wydobywania się z nagłej i gwałtownej zapaści gospodarczej. Tu należałoby zalecić lekcję bajki Mandeville'a każdemu europejskiemu szefowi rządu. Ostra rywalizacja o to, kto okaże się najmniej poturbowany i osłabiony skutkami wielotygodniowego (a może wielomiesięcznego?) lockdownu, trwa już

dziś. Niektóre rządy ze względów sanitarnych całkowicie zamknęły swoją gospodarkę (Włochy), inne zrobiły to o wiele łagodniej (Niemcy), bądź niemal w ogóle (Szwecja), a jeszcze inne, mimo trwającego potężnego ryzyka sanitarnego, już zdecydowały się na rozpoczęcie gospodarczego „odmrażania” (Austria). Już dziś jest więc najzupełniej jasne, że kondycja gospodarcza poszczególnych krajów „dzień po” okaże się mocno zróżnicowana. A skoro tak, to paradoksalnie zaraza oraz lockdown dla jednych mogą oznaczać spadek, ale dla innych relatywny wzrost bogactwa, wpływów oraz politycznej potęgi. I żadna unijna polityka „nowej spójności” czy „antykryzysowej solidarności” tej nowej relacji, wytwarzającej się po odejściu zarazy, nie zmieni. Dlatego właśnie po Mandevillovsku iluzoryczne są nadzieje Włochów czy Hiszpanów na przełomowe unijne „koronaobligacje”. Tak samo jak coraz liczniejsze apele o „wspólną strategię ekonomiczną w celu ratowania UE”, takie jak choćby ten, ogłoszony parę dni temu przez dwanaście europejskich lewicowych gazet (m.in. „Wyborczą”, „Le Soir”, „El Pais”, „Ouest-France”). Każdy kto dziś włada w swoim uderzonym przez zarazę ulu winien zatem pamiętać, że łatwo może go doprowadzić do ruiny. I nikt palcem nie kiwnie, kiedy jego zdziętkowany rój będzie musiał się wynosić do jakiejś zmurszałej dziupli.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”